№ 37. Warszawa, 16 Września 1910 roku. Rok III.

# SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

**PRENUMERATA w Warszawie**: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZENSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g 3 — 5 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

**TREŚĆ NUMERU:**



## Fala ponowna.

Pozornie tylko i na czas pewien represje administracyjne i lokauty fabrykanckie zdołały zabić w klasie robotniczej dążenie do poprawy ciężkich warunków bytu.

Po latach 1907 i 1908, latach beznadziejnej walki obronnej przeciw kapitałowi, odzyskującemu stracone niedawno przedtem placówki, już w roku zeszłym dało się zauważyć przemijanie przygnębienia, w jakie była wpadła klasa pracująca. Zaczynają pojawiać się oznaki nowego ożywienia się, przypływu energji. Lokaut drzewny w Łodzi, zwłaszcza zaś lokaut budowlany w Warszawie — oba zakończyły się niepomyślnie dla przedsiębiorców — wskazują wyraźnie, że opór zorganizowany przeciw samowoli pracobiorców uznany został ponownie za rzecz możliwą. Lato roku zeszłego dowiodło, że jest dopuszczalny i nie pozbawiony widoków powodzenia krok dalszy na polu walki gospodarczej — taktyka zaczepna, o ile zgadza się z konjunkturą ekonomiczną i opiera się na masach cokolwiek szerszych. Tkacze zarobkowi w Łodzi i okolicach uzyskali mianowicie cały szereg ustępstw, może drobnych, ale stanowiących wyjście z punktu martwego.

W chwili obecnej Warszawa, poczęści Łódź i prowincja, ale zwłaszcza Warszawa są objęte przez ponowną, ogromną falę strejkową.

Pomijając okręg łódzki, gdzie wśród tkaczów zarobkowych znowu przejawia się — z pomyślnym dla nich wynikiem—pewne ożywienie, w samej tylko Warszawie, przez kilka ostatnich tygodni, przechodziło i dotąd jeszcze przechodzi przez bezrobocie dobrowolne około 30.000 ludzi.

Strejkowali i strejkują dziś piekarze, krawcy, szewcy, pudełkarze, garbarze, szelkarze, introligatorzy, drzewni, i t. d. i t. d.

Są to więc przeważnie robotnicy, pracujący w drobnych fabryczkach i warsztatach, oraz chałupnicy,— ci, słowem, którzy znajdują się w najgorszych warunkach pracy, będąc całkowicie oddani pod niepodzielną władzę *sweating—systemu*, niekrępowanego nawet tak mało w naszych stosunkach skutecznym hamulcem, jak inspekcja fabryczna, tycząca się jedynie większego i wielkiego przemysłu.

Żądania strejkujących sprowadzają się do dziedziny czysto ekonomicznej. Typowe wśród nich — to ograniczenie czasu pracy, dochodzące niekiedy u chałupników do 16 godzin na dobę, gdy dla wielkiego przemysłu prawo przewiduje najwyższą normę 11½ godzin, — zniesienie samego chałupnictwa i zastąpienie go przez pracę warsztatową, — wydawanie nowej roboty w przeddzień ukończenia poprzedniej,— wypłata natychmiastowa, po oddaniu roboty, bez odkładania do niedzieli lub święta,— ustanowienie — podwyższonego cennika. Hasłem ogólnem jest powrót do warunków pracy z r. 1906/7.

Dla możliwego uniknięcia represji ze strony administracji, robotnicy stosują w większości wypadków nie *przerwanie*, lecz *porzucenie* pracy po upływie dwuch tygodni od złożenia przedsiębiorcy żądań. W ten sposób, przepisany ustawą termin wypowiedzenia pracy zostaje zachowany i prawnie robotnicy, którzy w razie niespełnienia ich żądań, nie stawiają się po dwuch tygodniach do pracy, nie mogą być uważani za strejkujących.

„Młot", omawiając obecny ruch ekonomiczny, zaznacza wysoką solidarność, panującą wśród robotników. „Z niezmiernem zadowoleniem — pisze — stwierdzamy, że wygasły wreszcie doszczętnie tak częste w tym fachu (szewskim) wichrzenia anarchistyczne. W strejku tym, kierowanym przez klasowo uświadomionych robotników, niema teroru, niema tego rznięcia materjałów, grożenia kupcom rewolwerami i bombami, które przedtem tyle szkody przynosiło samym robotnikom. I wygranie tego strejku da jeszcze jeden dowód niezbity, że teror nie pomaga sprawie robotniczej, ale jej szkodzi, że zwycięztwo daje przedewszystkiem i jedynie solidarność.

„A tej dają szewcy przykład, godny najwyższego uznania. Idą ręka w rękę ze starszemi chłopcy, — odmawiają przyjmowania roboty szpilkowej, grożąc strajkiem solidarności, szewcy sztyftowi (Żydzi), którzy swój strejk już przeprowadzili. Chybiły celu próby wywołania *waśni narodowych* i *wyznaniowych* wśród robotników, spełzły na niczem „szlachetne" usiłowania nacjonalistycznych szczwaczy polskich i żydowskich—pró-

żny był trud chrześcijańsko-demokratycznych działaczów. Niema — twierdzi „Młot" — różnicy między żydem a Polakiem, jest solidarność robotnicza."

Obecna fala strejkowa nie jest więc szeregiem tu i tam wybuchających zawieszeń pracy, wywołanych ciężkiemi warunkami w tym lub owym warsztacie. Jest ona przeciwnie z całego swego charakteru świadomym ruchem, powstałym wskutek ogółu nieznośnych stosunków, panujących w całych fachach. Strejki dzisiejsze w Warszawie są prawie dosłownie strejkami powszechnemi (w kierunku pionowym), i to właśnie wyciska na nich szczególne, tak niezmiernie doniosłe pod względem społecznym piętno. Musi być w naszym rodzinnym *sweating—systemie* coś, co, umiejąc kazać robotnikowi skrzyżować bezczynnie ręce, silniejsze jest od widma głodu podczas dni bezrobotnych i od lęku przed represjami administracyjnemi.

Widzieliśmy, że strejki, jak dotąd, ogarniają prawie wyłącznie przemysł drobny i chałupnictwo. W wielkich fabrykach włóknistych, metalowych i innych wrzenie poważniejsze się nie ujawnia. Niewątpliwie dlatego, że warunki pracy i płacy są tu względnie znośniejsze, a cięgi, przez jakie „ręce" przeszły, były, może, dotkliwsze, bardziej wraziły się w pamięć i nauczyły ostrożności; przytem większe skupienia robotnicze, w razie przerwania pracy, dają dogodniejsze pole do represji, aniżeli rozproszone chałupnictwo.

Tak jest dziś. Co jutro przyniesie, przewidzieć trudno. Dwa lata dobrego urodzaju i wysokie ceny na rynku międzynarodowym, wreszcie i pewne uboczne okoliczności [1]) powodują dla przemysłu polskiego lepsze widoki. A konjunktura rynkowa przedewszystkiem jest tem, co skłania robotnika uświadomionego i karnego do porzucenia roli biernego narzędzia, do przejścia do ofenzywy.

Nie agitacja „żywiołów wywrotowych" nie „marki pruskie" są powodem strejków, lecz wysokie zyski przedsiębiorców. Jeśli te będą szły w górę, rozszerzy się i pogłębi z żelazną koniecznością dzisiejsza fala żądań ekonomicznych klasy pracującej, fala mocna, bo żywiołowa, która będzie pracowicie omijać lub burzliwie przelewać się przez wszystkie przeszkody zewnętrzne, wczoraj jeszcze za niezwalczone, być może, uważane.

L. Wiciński.

---

# Dzieje grzechu Marjanny*)

## Policja obyczajności.

### III.

Współczesne życie wielkomiejskie płynie szerokiem, lecz bagnistem korytem, zbiera wszelkie męty, wszelkie brudy, nagromadza góry rdzawego błota; jak wszelkie bagno, kusi ono tysiącami błędnych ogników, a przy ich bagnistem fosforycznem świetle samo błoto przybiera pozory błyskotliwe, ponętne: jak wszelkie bagno, bezlitośnie wciąga lekkomyślną ofiarę, nie wypuszcza nigdy upatrzonej zdobyczy.

Skąpana w blaskach oświetlonych *a giorno* bulwarów, omotana gorączkowym wirem kawiarnianej wesołości, wyperfumowana zgnilizna błyszczy, niczem najczystszy kruszec, igra tysiącem rozkosznych barw. I wciągnięta w wir ten ofiara tak długo upaja się trującą atmosferą wielkomiejskiej rozpusty, dopóki nie przyjdzie przełomowa chwila, dopóki się nie stoczy o stopień niżej, i z wytwornych bulwarów nie przeniesie do dalszych zaułków skąpo oświetlonych mdłem światłem latarni gazowych, pozbawionych już nawet pozorów elegancji, a pełnych jedynie hałaśliwej wesołości pijackiej... A potem szpital i chorowita starość żebraczki lub gałganiarki, a potem śmierć na ohydnym barłogu w ciemnej norze i tak bez końca... Setki tysięcy razy i na wszystkich krańcach świata powtarza się ta jednostajna historja. Na wszyskich krańcach świata setki tysięcy ofiar pochłania w ten sposób bezmyślny Moloch.

A zwie się to prostytucją lub też klapą bezpieczeństwa dla zwierzęcości męskiej i istnieje wszędzie, a tembardziej we Francji, tej ziemi obiecanej, do której zbiegają się z całego świata zgłodniali wrażeń rozpustnicy.

W gruncie rzeczy, gdyby burżuazji znana była cnota wdzięczności, kupiectwo paryskie powinnoby otoczyć prostytutki najczulszą opieką, gdyż w licznych specjalnie paryskich dziedzinach handlu one to „font marcher les affaires". Pozbawiony prostytucji Paryż nie byłby Paryżem, to znaczy wyludniłby się z turystów wyrzucających tam zgrabione w ojczyźnie złoto, postradałyby kawiarnie, music-hall'e i wszystkie te zakłady, które dziś kwitną dzięki prostytucji, i upadłyby w ciągu dni paru bez tej przynęty.

Ale rzadka wogóle cnota wdzięczności, rodzajowi burżuazyjnemu jest zgoła obca, podsyca on więc *prostytucję*, natomiast *prostytutki* darzy najgłębszą pogardą, skuwa je ciężkim łańcuchem prawa, a właściwie— bezprawia.

Burzycielski okres w życiu rzeczypospolitej francuskiej przeminął już bowiem bez śladu; dni młodości górnej i chmurnej, gdy rehabilitowano prostytutki, gdy wraz z innemi „obywatelkami" werbowano je na barykady, nie wrócą już tak prędko. Dzisiejszy, wszechwładnie panujący *bourgeois* wyzbył się wszelkiego romantyzmu i gorliwie pracuje nad stłumieniem w sobie tych humanitarnych uczuć, na które powoływał się jeszcze niedawno.

*Où sont les neiges d'antan?* — mógłby spytać dziś Villon, słysząc jak u podnóża posągu Dantona rozbrzmiewają histeryczne krzyki, domagające się przywrócenia w prawodawstwie zniesionych przed stu dwudziestu laty kar cielesnych; zajrzawszy do mrocznego wnętrza więzienia St. Lazare w którem więżą te, nad któremi przed pół wiekiem tak szczerze płakali poczciwi baurgeois, czytelnicy „Nędzników" i innych humanitarnych powieści tego okresu.

Lecz niewątpliwie i ten okrzyk zmartwychwstałego Villona nie wzruszyłyby dzisiejszego bourgeois francuskiego. Bo on wie, że feodalizm miał jednak niektóre nader sympatyczne urządzenia, z któremi i burżuazji będzie nader wygodnie; on opancerzył już swe serce i zagustował w metodach, przekazanych ma przez *ancien régime*.

Specjalnie gdy chodzi o prostytucję, wyzbywa się on wszelkich skrupułów i wydaje ją na łaskę i niełaskę swego wiernopoddańczego rządu, rządu policyjnej pięści i lichwiarskiego worka.

Niegdyś prostytutki poddane były władzy miejscowego kata; obecnie są one poddane władzy prefekta policji, co wychodzi prawie na jedno. W stosunku do prostytutek gwarancje konstytucyjne, paragrafy deklaracji praw człowieka i obywatela, ogólne przepisy prawodawcze nie istnieją. Istnieje wyłącznie moc pana zastępów policyjno-szpiegowskich, smutnej sławy Lépin'a. Nie wyrok sądowy, lecz administracyjna decyzja prefekta policji stanowi o ich losie, wtłacza je do ponurych cel więzienia S-go Łazarza, wciąga do hańbiących rejestrów.

---

[1]) Jak donoszą dzienniki, cholera, srożąca się na południu Rosji i tamująca działalność tamtejszych zakładów metalowych, przyczynia się do napływu zamówień do takichż fabryk w Królestwie.

*) Patrz „Społeczeństwo" №№ 28 i 30.

Tak jest! W humanitarnej Francji działa jeszcze średniowieczne prawodawstwo, pozbawiające prostytutki nawet tych praw, z których korzystają zbrodniarze, skazani przez normalne sądy.

Prostytutka wobec prawa nie jest kobietą, lecz *fille soumise*, „dziewczyna poddana"—oczywiście prefekta policji. Gdy raz wciągnięto ją do rejestrów policyjnych, nazwisko jej pozostaje tam na zawsze, a osoba po wsze czasy staje się łupem t. zw. *police des moeurs* — policji obyczajności(?).

Bo zwykła policja prostytutkami nie zajmuje się, zapewne dlatego, że jest zbyt przyzwoitą do tych funkcji. Choć nie składa się ona z idealnie czystych i uczciwych ludzi, lecz jednak nie nadaje się do tak ohydnych czynności. Dozór nad prostytutkami złożono więc w ręce specjalnych ajentów, którym — przez ironję zapewne— nadano miano ajentów obyczajności.

Ajent obyczajności różni się od sutenera tem, że jest bardziej jeszcze zdemoralizowany, a przytem jest osobistością urzędową. Pozatem między dwoma typami temi niema żadnej różnicy: sutener włada prostytutką na mocy prawa noża, ajent na mocy przepisów administracyjnych; sutener nadużywa swej władzy, ajent również. Słowem sutener i ajent dzielą między sobą osobę prostytutki, przyczem ajent jest exsutenerem, sutener zaś — przyszłym ajentem. Rzemiosło sutenera jest więc swego rodzaju szkołą dla przyszłych ajentów policyjnych i rycerz noża, o ile posiada dość sprytu, a wyzbył się resztek uczuć ludzkich, staje z czasem rycerzem białej laski[1]), Nemrodem od polowań na „wesołe" dziewczęta.

Nemrod taki spaceruje po ulicach Paryża i łupem jego staje się *każda* napotkana prostytutka. Każda, gdyż przepisy policyjne, dotyczące prostytucji są tego rodzaju, że wszystko, cokolwiek dziewczyna taka uczyni, będzie przestępstwem. Nie wolno jej naprzykład „grasować" po ulicach, zaczepiać mężczyzn — jednem słowem czynić wszystko to, co nakazuje jej zawód. A zresztą, jeśli nie obraziła ona nawet chińszczyzny administracyjno-policyjnej, to i wówczas staje się łupem ajenta, który zawsze gotów jest oskarżyć ją fałszywie, złożyć kłamliwy raport, na którego zasadzie dziewczyna bez możności obrony lub apelacji zostaje skazana przez prefekta na dłuższy lub krótszy areszt. Że zaś od każdego raportu ajent otrzymuje pięć franków wynagrodzenia, więc też stara się spisywać raportów takich jaknajwięcej, wobec tego spotkanie z nim oznacza dla prostytuki nieomylnie kilka dni wilegjatury w gmachu przy ulicy St. Denis, którego front zdobi okrutny napis: „liberté, égalité, fraternité".

Zresztą i tu, jak wszędzie, wszystko zależy od stanu majątkowego ofiary: zamożniejsza prostytutka może zawsze okupić się, przelicytować władzę, która za aresztowanie płaci ajentowi pięć franków i dając mu wyższą nieco sumę, uniknąć aresztowania. Młodsze i przystojniejsze prostytutki wypłacają łapówki *in natura*, tak że ostatecznie wszystko krupi się na najbiedniejszych i najmniej ponętnych — co zresztą chodzi zazwyczaj w parze.

Dopóki ajenci obyczajności grasują wyłącznie wśród prostytutek, opinja publiczna traktuje wybryki ich z zimną krwią: mądry ustrój współczesny znajduje bowiem, że najlogiczniejszą rzeczą jest tolerować prostytucję, zakazując jej i zakazywać, tolerując. Ale czasem Nemrodzi ci organizują obławy w niewłaściwem środowisku i wówczas wybuchają skandale, których echa nie są jednak zdolne wstrząsnąć posadami gmachu przy *Quai des Orfèvres*, gdzie zasiada pełen mocy i dumy pan Francji, — mistrz Lèpine.

Czasem podczas połowu na niezarejestrowane prostytutki zdarzają się przykre „pomyłki" i w sieci policyjne dostaje się najniewinniejsza dziewczyna; czasem znów chwytają, jako sutenera, najuczciwszego robotnika. Rzadko kiedy niewinność i uczciwość chroni od kary sądowej, bo ajenci zawsze przysięgają, że wiedzą napewno, że widzieli stokrotnie i na własne oczy, a sądy koronne oraz władze administracyjne zawsze dają wiarę ich zeznaniom. Ale bywają na świecie wyjątkowo szczęśliwi ludzie, którym udaje się stwierdzić swe *alibi*, dowieść czarno na białem fałszywości zeznań ajentów. Ale ci zawsze unikną następstw krzywoprzysięstwa, dzięki przemożnej opiece szefa Lè-

[1]) Ajenci obyczajności ubierają się po cywilnemu, a dla odróżnienia od porządnych ludzi noszą białe laski.

---

## Zygmunt Kisielewski.

# ŚWITY.

2)

— Czego, Stefan, czego? Mały, czemu się skarży tak? Masz mnie przy sobie, tulisz. Całuj— i tu — jeszcze. Mój ty kochany! Włosów? — Masz je, weź je sobie. Ach ty- słodki—jedyny. Co łzy? Płaczesz, czemu płacze? Niemądry.

Po jego twarzy, szyi i piersiach zaczęły pełzać okrutne, straszliwe usta, jak płomień czerwony, w ciemną noc ślizgający się po ścianach domu. Jej ręce rozkryły mu piersi, na które weszły dwa ciepłe, ruchliwe puszyste zwierzątka, całując jego ciało okrągłemi pyszczkami. Pocałunki te działały, jak trucizna, wierciły nawskroś, jak sztylety, odbierając wolę i rozum. Sarnecki kurczył się i sztywniał, jak człowiek tonący, który czuje, że słabe ciało ulęga przewadze rozbestwionego żywiołu. Był, jak giętka sztaba żelaza rozpalonego, po której skaczą iskry i migają sine żyłki ogniste. Posępny las szumiał w zadumie. Stefan sądził, że cały świat huczy i ryczy, jak wulkan, w którego kłębiącem się, czerwonem wnętrzu wyją podziemne huragany, ciskając w otwartą ku niebu paszczę okruchami skał. Rzucał się na nią, wpijał się palcami w pachnące ciało, całował i kąsał. Ona zaś, znajdując najwyższą rozkosz w pożądaniu i pragnieniu posiadania ostatecznego, lgnęła do niego, to go znowu odpychała, drażniąc się z jego żądzą. Czasem siadała na piersiach i, złamawszy się w pół, prażyła go upalnym tchem, dręczyła wymyślnemi pocałunkami, tarła włosami, to odskakiwała, jak konik polny i odwracała się plecami do góry. Nareszcie pokonał ją i zdobył.

Chmury zasłoniły już całkowicie niebo. Wiatr chrzypiał gałęziami. Chmury wlokły się po niebie, jak wory kopcące gęstym, brudnym dymem.—Regina podniosła się i oparła o ramię Sarneckiego.

— Stefan, trzeba iść, późno. Jak strasznie!

— Strasznie, strasznie.

— Stefan, ty wrono nieznośna. Zawsze tak kraczesz przebrzydle. Chodź już, chodź!

Szli milcząc w stronę dworu, otoczonego kwadratem wysokich topól, któremi wiatr wywijał, jak olbrzymiemi miotłami. Regina wzięła Stefana pod rękę.

— Dlaczego zawsze smutny, dlaczego taki niedobry dla mnie?

Sarnecki zrazu nie odpowiadał. Potem zaczął głosem równym, spokojnym:

— Szedł puszczą młodzian zbłąkany, szukając drogi do gwiazdy, co na błękicie dalekim wisiała, jak tarcza złota, w rubinach. Lecz zanim tam dotrze, przebyć musi parje, wąwozy i uroczyska cmentarne. Nikt mu drogi nie wskaże, bo droga to jedyna i nikt nią jeszcze nie chadzał. Więc często błądził, szedł i zno-

pine'a, a prasa po krótkotrwałych wybuchach oburzenia zapomina o wszystkiem, dopóki nowy skandal znów nie zwróci uwagi na wybryki rycerzy białej laski.

I wdzięczne zadanie obliczania, ilu niewinnych ludzi napiętnowano sądownie stygmatem hańby dzięki policji obyczajności—wciąż czeka na swego statystyka. Wyjątkowo rzadko tylko jaki Liabeuf energicznie upomni się swej krzywdy i, zabijając paru ajentów, za cenę własnej ściętej przez gilotynę głowy przypomni opinji, że w królestwie Lèpine'a niepodzielnie panuje zaraza samowoli i szacherek.

Lecz sędziowie śledczy podawnemu wydają panom ajentom rozkazy aresztowania *in blanco*, podawnemu czynią ich panami honoru spacerowiczów z lasku Bulońskiego lub parku Monceau.

A dzieje się to w sto lat z górą po zburzeniu Bastylji i zniesieniu *lettres de cachet*, w czterdziestym pierwszym roku życia trzeciej rzeczypospolitej, o której z takiem wzruszeniem pisze „Prawda" i jej przysięgły Candide p. Gorecki.

Jerzy Huzarski.

# Kongres międzynarodowy w Kopenhadze.

I

W ostatnich dniach sierpnia i w pierwszych dniach września r. b. w Kopenhadze obradował ósmy Kongres drugiej Międzynarodówki socjalistycznej. Jak wiadomo Międzynarodówka ta została wskrzeszona w czasie wystawy powszechnej r. 1889 w Paryżu i od tego czasu odbyła ośm kongresów międzynarodowych, wyłoniła coraz to sprawniej działającą egzekutywę w postaci Międzynarodowego Biura Socjalistycznego, będącego moralnym kierownictwem wszechświatowej polityki demokracji społecznej. Znaczenie zarówno biura, jak i kongresu dziś jeszcze jest raczej moralne, ideowe aniżeli faktyczne. Stronnictwa socjalistyczne w różnych krajach tak odmienny noszą charakter w zależności oczywiście od stosunków i układu sił społecznych w każdym danym kraju, że niepodobna chyba myśleć o rozwiązywaniu na kongresach międzynarodowych zagadnień natury czysto praktycznej, życiowej. Z natury rzeczy poruszane tam być muszą zagadnienia ogólne teoretyczne; znać usiłowania poczynienia ogólnych wytycznych dla proletarjatu różnych krajów. Kongresy te praktyczniejszego znaczenia nabierają zwłaszcza dla proletarjatu krajów, rządzonych na zasadach szczerze konstytucyjnych, demokratycznych. Porozumiewanie się polityków socjalistycznych różnych krajów może tu przynieść klasie robotniczej nieobliczalne na razie korzyści.

Kraje jednak, w których wolności politycznej niema, niewątpliwie mniej czynny brać muszą udział w obradach Międzynarodówki, mniej się te obrady na polityce proletarjatu tych krajów odbić mogą; sama zaś Międzynarodówka ma przedewszystkiem znaczenie ideowe: robotnik Turcji, Persji, Rosji wyczuwa swą jedność organizacyjną z robotnikami innych, szczęśliwszych krajów; jedność tę widzi ucieleśnioną w postaci obradującego kongresu.

Ostatnio odbyty kongres niebywale był liczny; spodziewano się zaledwie 500 delegatów, przyjechało zaś przeszło 900; prócz tego obrady plenum kongresu toczyły się w obecności kilkuset przedstawicieli prasy i znacznej ilości publiczności. W skład dziewięciuset delegatów wchodzili między innemi delegaci trzech krajów skandynawskich w liczbie 350, delegaci niemieccy w liczbie 200, austrjaccy — 116 i in. Liczba delegatów nie stanowi o liczbie głosów, posiadanych przez każdy poszczególny naród. Liczba głosów każdego narodu wyznaczaną jest na zasadzie obrad międzynarodowego biura i na kongresie w Kopenhadze nie uległa zmianie w stosunku do ilości głosów, przyznanej na poprzednim kongresie, odbytym w Sztutgarcie w r. 1907. Podział głosów jest przeto następujący: po 20 głosów mają delegacje Niemiec, Austrji, Francji, Wielkiej Brytanji i Rosji; — 15 głosów mają Włochy; 14 głosów Stany Zjednoczone Ameryki Północnej; 12 głosów — Belgja; po 10 głosów delegacje Polski, Danji i Szwajcarji; po 8 głosów delegacje: Au-

---

wu zawracał, nogi ranił na ostrych kamieniach i wykrotach sękatych. Nocą upiory jęczące wołały nań: wróć się, bo zginiesz, jak my. Młodzieniec znękany, głosami trupów zlękniony, padał bez sił, do cna wyczerpany, w smutne zagłębiał się dumy. Ale wnet zrywał się, resztki sił zbierał i biegł i szukał i szukał. — A puszcza szumiała ponuro, wiatry gwizdały żałośnie, drzewa stękały. — Zawędrował młodzieniec na jasną polankę i, ostatecznie strudzony, upadł na trawę i usnął. Gdy się ocknął, uczuł na swych policzkach ciepłych rąk czyichś głaskanie. Kocham cię, rzekła dziewczyna, droga twoja daleka, pójdę z tobą, twą duszę ukoję. Któż ci da wody, gdy pragniesz, kto pożywienia, gdyś głodny—będę ci matką i żoną. Wziął dziewczynę wędrowiec i puścił się w dalszą wędrówkę, ufności pełen i szczęścia, że znajdzie drogę do gwiazdy. Nie bał się szumów puszczowych, ani poświstów wichrowych i duchy przestały go straszyć. Lecz złe losy, zawistne, okrutną groziły zasadzką. Skoro w dzień pewien gorący, poszedł do rzeki się umyć, ujrzał na brzegu boginkę. Pod zieloną wierzbiną, pośród kwiatów na trawie leżała, jak wąż centkowany. Grzała się w słońcu, jak łabędź, pieściła różowe swe ciało, śpiewała piosenki lubieżne. Młodzieniec słuchał jej głosu, jak dźwięku zatrutej fujarki. Zbliżył się, zajrzał w jej oczy, zapomniał o tamtej i został.

— A tamta, co go karmiła — zapytała Regina zadumana.

— Nie wiem. Może dotąd czeka.

— Piękna jest, powiedz, bardzo piękna? Jakie ma oczy, usta? kochasz ją? — A zresztą, co mnie to obchodzi! — Rozplotła włosy, wzięła grubą, sypką kiść w ręce i przycisnęła ją do ust kochanka. Sarnecki przystanął, położył rękę na włosach i wchłaniał ich aromat. Drugą ręką objął Reginę wpół i pogrążał się w miękim puchu włosów coraz bezpamiętniej.

— Czy jej włosy tak pachną, jak moje? — powiedz—czy pachną?

— Nie, nie pachną, szeptał odurzony. Nie pytaj, nie wiem, czyje włosy, usta—twoje tylko włosy, usta—zresztą nic... nic...

Sarnecki przywarł do niej i ustami chwycił pączki jej piersi.

— Boli—krzyknęła—obydwoma rękami odrywając głowę kochanka. Zrenice jej rozszerzyły się i zaświeciły, jak błyskawica, zaglądająca do wnętrza domu. Potem zbliżyła swoje usta do jego ust i tchnęła w niego gorącym oddechem.

— Mójeś ty, mój—rzekła.

Chciałam cię mieć...

— Innyś jest, śmieszny dziwak i dziecko—odjęła usta po raz trzeci, wzięła ręce z rozszalałej głowy kochanka i uciekła.

— Do jutra—przyleciał głos.

Wkrótce zaszczekały psy.

Sarnecki stał, długą chwilę, nie ruszając się z miejsca.

Już minęło, i znowu nieskończone godziny czeka-

stralji, Finlandji, Holandji i Szwecji, po 6 głosów delegacje Hiszpanji, Węgier i Norwegji; po 4 głosy delegacje Afryki Południowej, Argientyny, Bułgarji, Japonji, Rumunji i Serbji; 2 głosy—delegacje Luksemburgu. Od delegacji austrjackiej oddzieliła się delegacja czeska, która otrzymała 7 głosów; pozostałe zaś 13 głosów austrjackich podzielono pomiędzy partję niemiecko-austrjacką, która otrzymała głosów 9, włosko-austrjacką i ukraińsko-austrjacką, która otrzymała po 2 głosy. Delegaci Polskiej partji socjalno-demokratycznej Galicji i Śląska nie wchodzą w skład delegacji ogólno-austrjackiej, lecz wespół z delegacjami partji z zaborów pruskiego i rosyjskiego tworzą delegację polską. W tej ostatniej na ogólną liczbę 10-ciu głosów delegaci Galicji i Śląska mają 2 głosy, delegaci polskiej partji socjalistycznej zaboru pruskiego—1 głos. Pozostałe 7 głosów delegacji polskiej podzielono pomiędzy delegatami partji w zaborze rosyjskim, a mianowicie pomiędzy delegatami polskiej partji socjalistycznej (t. zw. „lewicy"), t. zw. frakcji rewolucyjnej polskiej partji socjalistycznej i socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, wreszcie delegatami organizacji zawodowych. Naogół delegacja polska na kongresie nie obradowała razem: delegaci t. zw. „frakcji rewolucyjnej" obradowali razem z delegacją Galicji i Śląska oraz z delegacją zaboru pruskiego, razem mieli głosów 4, t. j. Galicja i Śląsk — 2 głosy, zabór pruski — 1 głos, „frakcja" — 1 głos; delegaci zaś stronnictw pozostałych wraz z delegacją organizacji zawodowych tworzyli grupy oddzielne i razem posiadali głosów 6.

Kongres obradował w przepysznej sali pałacu koncertowego pięknie i gustownie udekorowanej; szereg haseł programowych międzynarodowego socjalizmu wywieszono w czterech językach: angielskim, francuskim, niemieckim i duńskim. Brzmią one jak następuje: „Praca źródłem bogactwa", „Opieramy się na solidarności!", „Wiedza to potęga!", „Religja jest sprawą prywatną!", „Zniesienie różnic klasowych!", „Precz z monopolami prywatnemi!", „Wola ludów najwyższym prawem!", „Powszechne, równe prawo wyborcze!", „Ośmiogodzinny dzień pracy!", „Rozbrojenie oznacza pokój!", „Równe prawa dla mężczyzn i kobiet!", „Wolność, równość, braterstwo!".

Delegacje poszczególnych krajów rozmieszczone zostały dokoła stołów ustawionych w 9-ciu kolumnach. W kolumnie najpierwszej na lewo od stołu prezydjalnego zasiadła delegacja Szwecji; delegacja Niemiec zajęła 2-ą i 3-ią kolumnę stołów; Austrji—czwartą kolumnę. Kolumna środkowa zajęta została przez delegacje Serbji, Turcji, Rumunji, Argientyny, Hiszpanji, Portugalji, Japonji, Grecji, Afryki Południowej, Australji, Luksemburgu, Włoch, Szwajcarji, Rosji i Polski. W kolumnie szóstej siedziały delegacje belgijska, węgiersko-kroacka i czeska. W kolumnie 7-ej—delegacje Holandji i Francji, w 8-ej — Finlandji, Norwegji i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, w 9-ej—delegacja Wielkiej Brytanji. Delegacja duńska wobec braku miejsca umieściła się na galerji z prawej strony. Galerję lewą wyznaczoną dla 125 delegatów prasy; w trybunie środkowej—miejsce dla publiczności.

## I-sze posiedzenie plenarne.

1-e posiedzenie plenum kongresu rozpoczęło się w niedzielę 28 sierpnia o 10½ rano odśpiewaniem kantaty przez chór robotniczy złożony z 500 głosów. Kantatę odśpiewano z przerwą, w czasie której z trybuny przemawiał poseł duński dr. Gustaw Bang; mówca powitał kongres imieniem gospodarzy duńczyków, dumnych z zaszczytu goszczenia u siebie Międzynarodówki socjalistycznej, w Kopenhadze, sercu Danji, gdzie przeciwieństwa klasowe najbardziej są zaognione; mówca zaznaczył, że kongres obraduje w obwodzie miejskim, w którym mieszka i król, że króla tego w parlamencie reprezentuje socjalista. Po odśpiewaniu drugiej części kantaty przemawiał inny duńczyk poseł Stauning, witając gości ze wszystkich stron świata i zdając przed niemi sprawę z postępów socjalizmu w Danji.

Imieniem Międzynarodówki odpowiedział Duńczykom Vandervelde. Istotnie ma się czem szczycić partja Duńska: w r. 1878 w czasie wyborów dostała zaledwie 700 głosów, w r. 1910—98,000, a prócz tego 120,000 robotników zorganizowanych w związkach zawodowych, 120,000 czytelników prasy partyjnej w tak

---

nia. Do jutra. Co uczynić z czasem, zanim nadejdzie jutro? Dokąd uciec przed rozterką? Żeby tutaj gdzieś knajpa rzęsiście oświetlona, gwarna, zadymiona! Tam się człowiek nie czuje tak bezgranicznie samotnym i zbitym. Można myśli kąsające zakropić wódką, zapchać naczernioną bibułą.—Martwa, obojętna pustka natury. Las zaciąga, zbudzony wiatrem, który przyleciał skądś i zmącił jego trupi spokój. Falują senne trawy i zboża, a pod stopami leży zeschła, twarda, bezmyślna ziemia. W górze suną szmaty chmur ospale, ciężko, jakby z musu tylko pełniły swoją służbę głupią i bezcelową. — Obca i bezwzględna wydawała mu się natura, niema a głupia, jak gałka ołowiana kuli zbłąkanej, zabijająca niewinnego człowieka. — Oto wlecze się tam na niebie groźny potwór, czarny i szary, o kołtuniastym łbie i rozdziawionej gębie, jakby chciał połknąć ziemię. I któż to wie? Może nagle rozedmie swe opasłe cielsko, zaryczy i padnie na ziemię piorunem, spali dom, do którego weszła ona. A może teraz, gdy on tutaj stoi i walkuje rozmyślania o przedwiecznej nędzy i —zaprawdę—jak wszechświat przeogromnym idjotyzmie wszystkiego, podkrada się do jego nóg żmija—jeszcze chwila—i śmierć! Zewsząd czatuje wróg i wszystko jest człowiekowi wilczym dołem, który mu grozi zagładą. Samotny jest człowiek, a każda rzecz jest przeciwko niemu. I jeśli nawet przeskoczy dół, który mu bliźni wykopie i dla niepoznaki liściem i kwiatem umai, jeśli nawet odeprze nieprzyjaciela, ujarzmi żywioły, nigdy, przenigdy śmierci się nie wymknie. — Strach prześlizgnął się po jego ciele. Śmierć—pustka—nic. Nie wie, czem jest życie, nie czuje radosnego wznoszenia się fali, co oczyszcza i ponosi ducha ponad otchłanie. Jest nędzarzem, który zgubił drogę i pokornym wzrokiem pyta się, bada, szuka.

Jakby myślom jego wtórując, lękliwie zatrzęsło się drzewo przydrożne. W duszy podniósł się płacz rozpaczliwy. Nigdy nie syta tęsknota zaczęła go dławić, gryźć, toczyć. Sarnecki usiadł pod drzewem i wpatrywał się w nią, jak w swego wroga. Skąd przychodzi? Dlaczego potrząsa nim, jak garścią wiórów? Dusza jego wyciągała ramiona, i ręce wytężały się ku czemuś, co jest gdzieś, ale czego pochwycić nie mogą. Zrazu nie chciał się poddać, odpędzał ją, ale tęsknota była silniejsza od niego. Opuszczały go resztki sił a ciało krzepło, jak pod działaniem chloroformu. Doznawał uczucia fizycznego bólu w wysuszonych piersiach. Jakaś gorącość dusząca obejmowała zmysły, przysłaniała je... W końcu uległ tęsknocie. Ale w tej samej chwili, jakby ją pokonał. Zdawało mu się, że go tutaj niema. Nie, to nie on. On stoi z boku i przygląda się z ciekawością i obojętnością, jak obserwator śledzący przebieg walki dwuch bijących się z sobą ludzi. Widzi, że słabszy już się gnie, już pada, nie broni się, a jednak z rozkoszą przysłuchuje się jękom, jakie wydaje z siebie zwyciężony po każdym razie rozpasanego zwycięzcy. Jeszcze się rusza? wal! — tłucz! — mocniej — jeszcze! — podszczuwał

niewielkim kraiku. Ale postępy socjalizmu od czasu ostatniego kongresu w Sztutgarcie w r. 1907 nietylko w Danji zauważyć się dają. Dawniej na kongresach delegacje poszczególnych krajów zdawały sprawę z pracy socjalistycznej; teraz na to czasu niema; sprawozdania drukowane są i rozdawane uczestnikom kongresu. Ze sprawozdań tych widzimy, że do Międzynarodówki należą dziś 33 narody, że socjalistów na świecie jest co najmniej 8 miljonów. Socjalizm jest nie tylko potęgą, jest potęgą stale rosnącą. W ostatnim trzyleciu ruch się cofnął tylko w Finlandji, Rosji, Węgrzech i Argientynie. We wszystkich innych krajach socjalizm poczynił kolosalne postępy. W czasie kongresu sztutgarckiego ze sprawozdania amerykańskiego wynikało, że oddano tam pół miljona głosów socjalistycznych; od tego czasu liczba ta znacznie wzrosła. W Anglji ogromne postępy robi ruch robotniczy; to samo w Austrji, gdzie po pierwszych wyborach powszechnych frakcja socjalistyczna w parlamencie okazała się najliczniejszą z frakcji wszystkich parlamentów; od tego czasu głosów jej przybyło. Przybyło również posłów w Szwajcarji; w Belgji liczba ich wzrosła z 25 na 35, we Włoszech posłów jest prawie 2 razy więcej; we Francji w czasie wyborów ostatnich zdobyto 75 mandatów poselskich, t. zw. socjaliści niezależni ponieśli sromotną porażkę, i siła socjalistów zjednoczonych uplastyczniła się w całej pełni. Siła ta zresztą ma swe źródło w zjednoczeniu partji socjalistycznych. Wzrost socjalizmu w Niemczech jest niebywały; przypływ członków zarówno do partji, jak i do związków—kolosalny. Nawet stronnictwa mieszczańskie niemieckie obiecują socjalistom po wyborach przyszłorocznych co najmniej 100 kandydatów poselskich i 4 miljony głosów. W końcu przemówienia wspomniał znakomity mówca o nieobecnych przywódcach Międzynarodówki: o chorych Beblu i Singerze, o zmarłym Andreasie Costa.

Na przewodniczących kongresu wybrano przez aklamację trzech delegatów krajów skandynawskich: Duńczyka Klausena, szweda Brantinga i norwegczyka Jeppersena.

Na porządku dziennym znalazły się sprawy następujące:

1) Stosunek kooperatywy do partji politycznych;
2) sprawa bezrobotnych;
3) sądy rozjemcze i rozbrojenie;
4) rezultaty międzynarodowe ochronnego prawodawstwa pracy;
5) organizacje manifestacji międzynarodowej przeciwko karze śmierci;
6) sprawa szybkiego wykonywania uchwał kongresów międzynarodowych;
7) organizacje solidarności międzynarodowej;
8) rezolucje w sprawie jedności organizacji zawodowych w Austrji, zjednoczenia we Francji, w sprawie Finlandji i Persji.

Dla skuteczniejszych obrad nad powyższemi kwestjami uchwalono rozbicie kongresu na 5 komisji, które miały opracowywać odnośne rezolucje i wnioski i przedstawiać je na posiedzeniach plenarnych dla przegłosowania. Najbardziej zasadniczą przeto była praca w tych komisjach, Komisje były następujące:

1) dla spraw kooperatyw;
2) dla spraw związków zawodowych, specjalnie dla jedności organizacji zawodowych w Austrji i dla zrealizowania idei solidarności międzynarodowej;
3) dla sprawy antimilitaryzmu, sądów rozjemczych i szybkiego wykonania uchwał kongresów, dotyczących zachowania pokoju;
4) dla spraw prawodawstwa pracy, specjalnie zaś dla sprawy bezrobotnych;
5) dla rezolucji poszczególnych: w sprawie kary śmierci, Finlandji, Persji, Argentyny i jedności socjalistycznej.

Po uchwaleniu porządku dziennego i zatwierdzenia komisji zamknięto pierwsze posiedzenie plenarne.

(d. c. n.)

Edw. Michalski.

---

Sarnecki. — Aha! jużeś się nasycił, zbóju — szepce w duszy.

Jakieś słowa zaszeleściały mu w głowie, kiedyś słyszane, ale nie wie, kiedy i kto je wypowiedział: „Złe przeczucia nie dają mi spokoju. Czemu nie piszesz, Stefan?" Sarnecki siłą zatrzymał pęd innych myśli i wytężył pamięć, aby przypomnieć sens słów natrętnie brzęczących mu nad uchem. Ale skoro je zaczynał pojmować, kłamał, że ich nie rozumie, odwracał od nich oczy, jak człowiek udający, że nie poznaje znajomego na ulicy. Słowa jednakże wracały bezustannie i brzmiały coraz głośniej, jak libretto ballady o zamordowanej w lesie królewnie. Przykry niepokój opanowywał Sarneckiego. Wstał z ziemi i poszedł. Ale głośny dźwięk słów nie milknął i uderzał w mózg, jak stuk wielkanocnych kołatek. W końcu chytra świadomość zrezygnowała z obrony. Słowa stanęły przed Sarneckim jasne. Teraz już nie mógł udawać, że ich nie słyszy. I niespodziewanie, w jednej chwili, myśli nabrały blasku, stały się klarowne, zdecydowane, wiadome. Zapadła się tęsknota, znikł ból, co mu drążył mózg — jednym skokiem stanął u szczytu postanowienia, do którego bezwiednie zdążał od kilku dni.

Musi jej, Janinie, odpisać, pożegnać ją na zawsze. Nie może dłużej dźwigać ciężaru tak, jak nie może Janiny i Reginy stopić w jedną osobę. Drogi jego skrzyżowały się. Musi wybrać jedną lub drugą.

Oto płynął na duszohubce ślizkiej i lekkiej, na morze pędził zburzone, huczące bryzgiem fal. Każda chwila groziła śmiercią, z którą bez odpoczynku musiał walczyć. Nareszcie ujrzał we fioletach zmierzchu zatokę cichą. Gładka toń łamała się w łagodne fałdy złoconych wstęg wody. Na brzegu stała dziewczyna. Przyjęła go na czyste śniegi swych dziewiczych piersi — gołębi, obiecując spokój mocy, powagę twórczego jutra. Ale wnet uderzyły na trwogę czuwające kapłanki życia, przyleciał wicher z gór i pustyń i fatalny wir sprzecznych sił porwał go w odmęt zielony, łyskliwy, zmienny, czarujący nieuchwytnością chwilki. Wzbijał się na pieniste grzywy fali najwyższej rozkoszy i spadał piorunem w nastawioną sieć rozpaczy.

Sarnecki żachnął się, jakby gwałtem wyrywając się z sideł, i pobiegł do swego mieszkania.

Pisał:

„Janko! Przeczucia twoje sprawdzają się. Opuszczam cię — żyją we mnie siły złe, niszczycielskie. Co zbuduję w dzień, one przychodzą w nocy i burzą. Dusza moja jest sceną, na której hulają złe djabełki, pleniąc wszelką nadzieję. Dusza moja jest, jak bezsens koszmaru, który nazwano życiem, a życie jest, męką bez potrzeby i bez celu. Oto znowu jestem zatraceńcem—i nie wiem, czy się zdołam oprzeć pokusie. Żegnaj! żegnaj! Obyś była szczęśliwszą, niż ja:"

Stefan.

Świtał dzień. Czuby drzew rumieniły się słońcem wstającem. Ptaszki świergoliły i ćwierkały wesoło i gwarnie. Za ścianą rozpoczął się zwykły, poranny wrzask wstającej rodziny gospodarza, pokrzykiwanie

# Galicyjski Index Prohibitorum.

Wychodzący w Krakowie „Przewodnik Oświatowy", organ„ Towarzystwa Szkoły Ludowej", poświęcony sprawom oświaty pozaszkolnej i narodowego wychowania ludu polskiego, pomieścił w zeszycie marcowym z roku bieżącego ocenę mych wypisów p. t. „Geografia Malownicza" (Ameryka Południowa), podpisaną przez jakiegoś pana J. T. Dziedzica. Sąd o mej pracy wypadł potępiająco: p. Dziedzic wydał ostateczny wyrok: „nie polecone."

Sprawa ta ma, jak zobaczymy, nie tylko osobiste i fachowo-geograficzne, ale także i ogólne, społeczne, znaczenie; dla tego pozwolę sobie poruszyć ją na łamach „Społeczeństwa."

Pan Dziedzic — czy to, że upaja go władza cenzora, czy że nie rozumie, iż twierdzeń swych, a zwłaszcza sądów potępiających, należy dowodzić nawet wtedy, gdy się jest powagą na danym polu, a podsądny dyletantem; w danym zaś razie rzecz ma się inaczej, — nie robi sobie żadnych ceregieli z motywami wyroku; zaledwie wskazuje tylko na inkryminowane ustępy mej książki.

„Wstęp o Kolumbie, głosi p. Dziedzic, obniżający jego zasługi i zdolności odkrywcze, jako też ustęp Desachy'ego o gospodarce jezuitów w Paragwaju—są źle dobrane, a zwłaszcza ten drugi zupełnie się nie nadaje i wywołuje w czytelniku niesmak—nie uważam za stosowne polecić tej książki."

Panu Dziedzicowi nie podobał się również ustęp o kolonistach polskich w Brazylji. Wreszcie — ustępy z podróży Humboldta i Darwina, jako przestarzałe!

Zachodzi pytanie, jakie motywy, które tak przezornie ukrywa, mógł mieć pan Dziedzic do potępienia mej książki?—Czy naukowe?—Ależ naprzód gdyby posiadał takowe, nie ukrywałby ich tak skromnie czułby się w obowiązku przytoczenia ich, gdy, sam nieznany w nauce, występuje z potępieniem czyjejś trzydziestokilkoletniej działalności naukowej. Powtóre: brak argumentów i wogóle podstaw naukowych u pana Dziedzica ujawnia się w naiwnym jego sądzie o niewłaściwości umieszczania wyjątków z podróży Darwina i Humboldta, jako przestarzałych: o przestarzałości sądzi on nie według rzeczy, lecz czysto zewnętrznie według chronologji.

Gdyby jednak wiedział cośkolwiek o dziejach rozwoju nauki geograficznej, choćby z naszego szkicu („Historja rozwoju nauki o ziemi"), rozumiałby jak wiele idei tych „przestarzałych" mężów żyje dotąd w geografji; wiedziałby przedewszyskiem, że Humboldt jest między innemi twórcą fizjognomiki geograficznej („Ansichten der Natur"), to jest—tego, cośmy nazwali „geografją Malowniczą"; wiedziałby, że jego opisy natury do dziś dnia zachowały wartość, są klasyczne; że są z tego powodu wciąż na nowo wydawane i niema prawie wypisów geograficznych zarówno niemieckich jak francuskich, w którychby nie było jakiegoś ustępu z Humboldta, jako wzoru, jak powinno się takie rzeczy traktować. A jeżeli nawet ten lub ów szczegół byłby przestarzały, to można go przecież bądź opuścić, bądź opatrzyć komentarzami, jak to ja właśnie uczyniłem.

A więc p. Dziedzic nie miał motywów naukowych, mieć ich nie mógł, jako umysł nienaukowy, pozbawiony geograficznego przygotowania.

Motywy pana Dziedzica były innej natury—„moralne", odpowiednie jego psychice, urobionej widocznie na rekolekcjach jezuickich, do wysłuchiwania których pedagodzy galicyjscy są zmuszeni pod groźą złej noty u władzy, względnie—pozbawienia posady. Sprobujmy te ukryte motywy „moralne" odsłonić.

Naprzód niepodobał się panu D. artykuł o „Kolumbie", zapożyczony od znanego badacza dziejów geografji S. Rugego („Führende Geister"); niepodobał się, bo odskakuje zbytnio od naszych domorosłych powiastek o Kolumbie, przepojonych duchem słodkawo-religijnym: artykuł ten, oparty na podstawie gruntownych badań, odsłania krytycznie ciasne, biblijne cechy umysłowości Kolumba, wykazuje jego chciwość w poszukiwaniu złota i zawiezione w zamian za to dla Indjan „błogosławione" dary kościoła katolickiego—krytyka i prawda!—jakież to są demoralizujące rzeczy, jak pączą umysł i charakter młodzieży, czy ludu — nieprawdaż panie Dziedzicu?—to szanowny pan pedagog miał na myśli, nieprawdaż?

---

rodziców, pisk dzieci. Po chwili wyszedł przed chatę chłop, i mrucząc pacierze, zabierał się do roboty.

Sarnecki wpatrywał się w jego postać z dziwną ciekawością... Ukrył się za framugą okna, aby go chłop nie mógł dostrzedz i patrzył w skupieniu, wreszcie, gdy gospodarz odszedł, Sarnecki ziewając, znużony, położył się i próbował usnąć.

II.

We wrześniu wrócił Sarnecki do Warszawy. Miał tutaj sporo znajomych z dawniejszych czasów. Zawsze w biedzie, ciągle „na razie" zarabiając lekcjami, zbyt wiele czasu nie tracił na studja uniwersyteckie. Tymczasem mijały lata. Sarnecki kręcił się wśród rewolucjonistów, okresami był nawet więcej, niż tylko „sympatykiem", ale od roku z górą odsunął się od dawnych znajomych, zniechęcony, niezadowolony z ludzi i z siebie. Znajomi ochrzcili go mianem dekadenta, przypisując zmiany, zaszłe w Sarneckim, wpływowi Krakowa, gdzie bywał od czasu do czasu. Tembardziej więc w obecnym stanie rozstroju nie miał ochoty zajeżdżać do kogokolwiek, zwłaszcza, że w Warszawie postanowił się zatrzymać tylko dwa tygodnie, doczekać się Reginy, która go tutaj miała odwiedzić, a potem zamierzał jechać do Krakowa. Przeczucie i pewne oznaki chłodu ze strony Reginy wskazywały mu, że jej miłość ma się ku końcowi, że ten koniec nastąpi niechybnie i to w Warszawie, gdzie ją ujrzy prawdopodobnie już po raz ostatni. Wskutek tego również nie chciał później zostawać w Warszawie. Pragnął koniecznie zmienić miejsce pobytu. W Warszawie było mu duszno. Nieuzasadniona niczem nadzieja pchała go do wyjazdu.

Posiadając jeszcze kilkadziesiąt rubli, uciułanych z lekcji wśród „letników", zainstalował się w hotelu. Zająwszy swój pokój, usiadł przy oknie. Padał deszcz. Niebo i ziemia były szare, zmoczone, zabłocone. Sarneckiemu wydało się, że jest wróblem, który przysiadł na gałązce drzewa, ale za chwilę sfrunie i uleci. Obawiał się, że lada moment ktoś wejdzie, jakiś służący i wypędzi go na ulicę, het we światy, bo jego losem jest tułać się z miejsca na miejsce. Nigdy nie będzie mógł rzec: „oto tutaj wreszcie jestem." Aby zagłuszyć nieprzyjemne poczucie, wyglądał na ulicę. — Podobno coś się zmieniło w tem stołecznem piekle. Piszą wszędzie i mówią wszyscy z tajemniczą twarzą, że się tutaj coś wielkiego dzieje: jakoby ten potwór, dyszący kominami fabryk począł głucho ryczeć. Opowiadano mu, że raz w nocy dał się słyszeć zdala, jakby z Woli, przenikliwy jęk, niby z piersi tłumu wydarty szloch, a tak okropny i potężny, jakgdyby to był ryk zwierzęcia, mordowanego w rzeźni. Sarnecki wpatrywał się w twarze ludzi, zatapiał się w hałas miejski i nie znajdował tego, o czem opowiadano. Zwykłe, pomięte twarze, przygarbione i śpieszące postacie, czasem wzrok czyjś zadumany, tu i owdzie spojrzenie zalękłe—ulica przedstawiała obraz znany mu dobrze, codzienny, obojętny. W oczach natomiast przewijały się białe

Powtóre niepodobał się panu D. artykuł o „Kolonistach polskich w Brazylji" według A. Dygasińskiego; dlaczego? — Niepodobał się, bo wykazywał niższość kolonizacyjną ludu polskiego w porównaniu z niemieckim—niższość z powodu ciemnoty i zabobonów. Czytelnik z ludu, przeczytawszy taki artykuł, mógłby zastanowić się nad sobą, mógłby zechcieć pozbyć się tych wad, wznieść się wyżej umysłowo i życiowo – to byłaby bezwątpienia „demoralizacja" — nieprawdaż panie Dziedzicu, moralisto dbały o „oświatę" ludu?

Po trzecie niepodobał się panu Dziedzicowi artykuł „O gospodarce jezuitów w Ameryce Południowej" — ten „zwłaszcza" budzi w nim najwięcej „niesmaku". Ba, naturalnie, jak już wiemy, przecież p. Dziedzic, jako pedagog galicyjski, musi uczęszczać na rekolekcje Ojców jezuitów, a ujawnienie właśnie „niesmacznej" gospodarki jezuitów w Ameryce mogłoby nastręczyć czytelnikowi galicyjskiemu analogję z gospodarką jezuicką w Galicji, mógłby on zapragnąć uwolnienia się z krępujących jego myśl i wyciskających jego kieszeń więzów klerykalizmu, mógłby zapragnąć sam gospodarować, żyć i myśleć samodzielnie. A to według p. Dziedzica byłoby zapewne najzgubniejsze pod względem „pedagogicznym" i „oświatowym".

Widzimy stąd, że ten pan Dziedzic to wymarzony galicyjski „pedagog" i krzewiciel „oświaty". I co więcej: jest on, zdaje się, jaknajsolidarniej zgrany z redakcją „Przewodnika oświatowego": Bo oto zobaczmy z kolei, jakie to ten „Przewodnik", potępiający moją książkę, — jakie natomiast książki „poleca", a nawet „bardzo poleca":

Otóż do takich książek, które redakcja uznała za bardzo zbawienne dla „oświaty" ludu należą np.

1) „B o r u n y", książka opisująca „dobre strony" tych czasów, gdy u nas były jeszcze „s z k o ł y k l a s z t o r n e", gdzie uczyli k s i ę ż a. O złote czasy! starajmy się, by powróciły!

2) „P o d k o ś c i o ł e m", książka o prześladowaniu kościoła katolickiego „pod Moskalem"—,jakby prześladowanie było przywiązanie do n a r o d o w o ś c i rosyjskiej.

3) „W i a r u s", sceny z życia żołnierskiego. Chodzi o to, by Polak był dzielny do wojaczki i „wierny" kościołowi, to jest ciemny. Zachodzi jednak pytanie, jakie mogą być, w obecnej fazie dziejowej, praktyczne rezultaty tej „wiarusowej" dzielności — przeciw komu „wiarus" zwróci swą „dzielność" przy „wiarusowym" stanie swej umysłowości? Naprzód naturalnie — jak głoszą dzielne sokoły galicyjskie — przeciw „wrogom w e w n ę t r z n y m", a więc przeciw żydom, marjawitom, socjalistom, inteligentom, — będzie materjałem dla drużyn huligańskich. A następnie — przeciw wrogom zewnętrznym; lecz w danych warunkach, przeciw jakim? No, będzie jak „Bartek zwycięzca" „dzielnie" bił Francuzów, bo „to także Niemce ino ścierwa gorse" (naturalnie: heretycy!). Będzie, jak ułani galicyjscy, bił Włochów pod Custozzą, bo oni więżą w Watykanie nieszczęśliwego opiekuna Polski „Ojca Świętego". Będzie bił Japończyków, bo to „ancychrysty" i t. d. i t. d.

Oto co „Przewodnik Oświatowy" poleca (a czego nie poleca) do czytania ludowi ku jego „oświacie": Z tego widać, że mieni się on przewodnikiem „oświatowym" jak l u c u s a n o n l u c e n d o — głosi, iż służy „oświacie ludu", a służy ku utrwaleniu jego ciemnoty. W a c ł a w N a ł k o w s k i.

# Rozdźwięki.

## Tabu niepodległe.

Jeżeli jest on tak, powiedzmy grzecznie, naiwny umyślnie, to go podziwiam, jeżeli zaś niechcący—to go żałuję.

J u l e s L e m a î t r e o A l b e r c i e W o l f f i e.

Oburzenie, jako wyraz reagowania na wystąpienia p. Niemojewskiego—jest bezskuteczne. Mocne słowo, prawdziwe i kulturalne, utraciło już swoje znaczenie

---

i srebrne zagajniki, polanki zieleniejące poprzez kolumnady różowych pni, słoneczne; mignęła żółta ścieżka wśród lasu, którą chodził w stronę jej domu.

Tęsknota ścisnęła go za gardło.

Wybiegł na ulicę.

Gdy się namyślał, dokąd pójść, przypomniał sobie list, który otrzymał jeszcze na wsi, list od przyjaciela z czasów szkolnych, Zglińskiego. Zgliński był jedną z ważnych figur w jego życiu. Starszy kolega w gimnazjum prowincjonalnem, prowodyr i kierownik kółek nielegalnych, energiczny zapaleniec, odgrywał śród młodzieży pierwszą rolę. Sarnecki nie widział się z nim od lat sześciu. Zgliński, ukończywszy gimnazjum, udał się do Warszawy, a relegowany z uniwersytetu w czasie rozruchów studenckich, wyjechał za granicę i przepadł. Sarnecki nie wiele odtąd słyszał o uwielbianym dawniej przyjacielu. Od czasu do czasu dochodziły go wieści, że się zmienił, ustatkował, że ukończył medycynę i zamierza rozpocząć w Paryżu karjerę, ale Sarnecki niezupełnie dowierzał słuchom, chociaż nieraz dopuszczał wątpliwości. Obecnie był sobą tak dalece zajęty i taki znużony, że nie zajmowałby się przyjaciela osobą, gdyby nie nagły przyjazd Zglińskiego do Warszawy i ów list, niejasny, żartobliwie—aforystyczny, w którym Zgliński okazywał chęć zobaczenia Sarneckiego i to jaknajprędzej. Skutkiem owego listu nabierały też i wątpliwości większego prawdopodobieństwa. Perspektywa zobaczenia się ze Zglińskim przedstawiała się Sarneckiemu jako ważny wypadek, do którego trzeba się jako tako przygotować. W tym celu zdecydował się najpierw pójść do Śmigielskiego, który przebywając stale w Warszawie, mógł się spotkać ze Zglińskim, mógł się już z nim zapoznać.

Śmigielski przyjął go bardzo serdecznie.

— Będzie przynajmniej można pogadać.

— Cóż to, poschnęły ludziom języki?

— Przeciwnie. Dużo mamy takich od gadania— odwrócił Śmigielski.

— Cóż u was słychać? — Śmigielski podniósł na Sarneckiego duże, niebieskie oczy.

— Latamy, latamy jak ćmy—dodał Sarnecki jakby do siebie.

— To się u was nie wiele zmieniło — zagadnął Śmigielski.

— Nawet mniej. A i wam jakoś nie wesoło patrzy z oczu. Jesteście w robocie, w partji?

Śmigielski przygryzł usta.

— Usuwam się—wysączył niechętnie.

— Dlaczego?

— Et—gadać nie umiem, a tu teraz gadacze rej wodzą. Ot, brzydko w Warszawie i koniec.

— A cóż ruch, idzie, rozwija się?

— Wszystko przycupnęło. Przedtem było kiepsko, a teraz, stan wojenny, nie przelewki. Każdy chowa się w mysią dziurę. Tłuczemy się jeden o drugiego po omacku. (d. c. n.).

w obozie Myśli Niepodległej. Jeśli istniały jeszcze jakiekolwiek co do tego złudzenia to po № 146 pisma p. Niemojewskiego—pierzchły one bezpowrotnie. Niema żadnej racji zbijać zarzutów równie bezpodstawnych, jak i kłamliwych, tembardziej, że nawet najpoważniejsze prostowanie faktów ulegnie nowemu podrobieniu przez p. Niemojewskiego. Krótko mówiąc, jeżeli redaktor Myśli Niepodległej, szkalując przeciwników, przypuszcza, że tym sposobem zasłoni siebie i w cień usunie swoje poprzednie rozpaczliwe wystąpienia — to grzeszy optymizmem zuchwałego desperata. Jeżeli zaś uważa, że próby deptania godności wszystkich niewygodnych mu pisarzy stanowią dlań niezbędne podniety do twórczej działalności - to w takim razie zdradza upodobania, właściwe klinicznym niewolnikom nałogu. Podniety takie, świadczące bądź co bądź o wysoce wysubtelnionym smaku p. Niemojewskiego, mają widocznie dlań wartość gdańskiego narkotyku. Obawiam się, że warunek ostatni jest najbardziej prawdopodobny. Po wysuszeniu wszystkich źródeł podniet trujących, p. Niemojewski od dłuższego czasu uparcie poszukuje złotodajnej żyły kacerstwa moralnego już nie w głębi naszej literatury pięknej, lecz na gruncie najmłodszej publicystyki. Szkoda tylko, że czyniąc zadość swym popędom kosztem czci upatrzonych pisarzy, nie umie w sposób przezorny zabezpieczyć własnej godności od zaszargania w nieznośnej godzinie szarugi literackiej. Dziwnym splotem warunków p. Niemojewski wówczas dopiero usiłuje uczynić puste miejsce wokół jakiegoś pisarza, kiedy przemożna opinja stawia go już w rzędzie ludzi wyklętych.

W swoim czasie, kiedy St. Przybyszewski, zdobywszy rozgłos wśród obcych, powrócił do kraju - spotkał się z wrogim nastrojem plutokratyczno-obszarniczej Warszawy, rozporządzającej wpływami w redakcjach i salonach i decydującej o smaku estetycznym czytającej publiczności. Przywitany jako wieszcz plugastwa i jako kapłan szelmostwa, St. Przybyszewski już przez to samo miał zamknięte dla siebie, lecz otwarte przeciw sobie - wszystkie pisma warszawskie. Był więc pisarzem bezwględnie wyklętym. Wówczas nieomieszkał p Niemojewski nad puharem opinji, pełnym po brzegi tępej nienawiści dla autora „Złotego Runa” wysączyć kilka dodatkowych kropel własnego jadu, płynącego z duszy, dbałej o moralność dorastającego pokolenia. Jeżeli chodzi o fakty bardziej współczesne, świadczące że z biegiem lat instynkt krucjaty wyzwala się w czynie p. Niemojewskiego jedynie w tych chwilach, kiedy znienawidzony pisarz ścięty już zostaje w opinji społecznej,—wystarczą dwa najwybitniejsze. Kiedy pamiętna naganka przeciw W. Feldmanowi, zapoczątkowana przez rzecznika posiadaczy pól i lasów, przez literackiego tłumacza duszy obszarniczej - i prowadzona przy udziale wiernej kohorty szwoleżerów dziennikarskich, — zakończyła się wreszcie banicją z granic wpływów krytyki literackiej, — p. Niemojewski nie pogardził salwą wiwatową w chwili upadku znienawidzonego pisarza. Szlachetny pionier Wolnej Myśli, otoczony glorją tryumfatora, ostatni przydeptał leżącego intruza-żyda!

Stanisław Brzozowski, zgnębiony zadawnionym przekleństwem rządzących nieprzyjaciół i zarzutem utalentowanego szpiegostwa — umierał na zawsze w opinji społecznej. Ta najbardziej bezlitośna tyranka nowożytna, umiejąca określać brzmienie imienia, ważyć zasługi i przebaczać dopiero po śmierci — zabiega już sama dostatecznie, a nawet nadmiernie, ażeby zagłuszyć i te przytłumione oddalone echa, dochodzące nas z małego liczebnie środowiska pisarzy silnych, nieugiętych wobec opinji i nieprzekonanych o winie twórcy i myśliciela. I tu pod opiekuńczem ramieniem tyrana, wyrokującego o losach wszystkich umysłów niezależnych w Polsce i grzebiącego za życia nawet genjuszów, — p. Niemojewski znów z wysokości zamku Myśli Niepodległej rzuca z rozmachem ostatnie kamienie, mające umocnić dokonane już dzieło zagłady.

Nic więc dziwnego, że i dziś, ulegając swoim nałogom, ten męczennik wolnej myśli objął rządy nad naganką powszechną, mającą zapędzić w matnię ludzi, którym już wypisano listy banicyjne za przekonania i pochodzenie. Zacne rządy i szlachetna rola protagonisty narodowego! I człowiek ten pragnie nam przypiąć łatę na plecach, mającą ostrzegać społeczeństwo przed jego wrogami! Widząc w nas nieprzyjaciół osobistych, usiłuje podać nas za ludzi, bezczeszczących imię męczeńskiego narodu, śmiejących się w pięść z wiekowej tragedji ojczyzny. Wspaniałomyślny i szlachetny oszczerca!

I ten odważny rzecznik wolnej myśli, nie mogąc sprostać w polemice zasadniczej w sferze zagadnień społecznych — uważał za stosowne ukryć swoje oblicze pod maską rzekomo innego pisarza (Lambro) i chyłkiem wycofać się, pomimo drukowanej zapowiedzi dalszego prowadzenia dyskusji. [1])

Jako powód milczący wyrzeczenia się metody eksperymentalnej w publicystyce, przy której pomocy p. Niemojewski usiłował zdemaskować niepowołanych rzeczników klasy robotniczej, — służyć miał umotywowany artykuł, wzywający lewicę do współdziałania w walce przeciw żywiołom, grupującym się na prawem skrzydle. Społeczeństwo, uważając się za organ lewicy, podniosło rzucone hasło, przerywając zarazem polemikę zasadniczą dla czasowych względów polityki praktycznej. [2]) Lecz i tu męcząca tęsknota do porzuconego dobrowolnie ognia krucjaty osobistej, biorąc górę nad wskazaniami rozumu, pcha p. Niemojewskiego na dawniejsze tory walki. I dziś wszelkie dowody rzeczowe chybiać muszą celu; w najlepszym zaś razie przepadną bez echa w próżni niepodległej lub niechybnie rozbiją się o głuchy mur pytania: „A co wyście zrobili”, „kto zacz jest ten i ów”, „skąd się wywodzi”, „gdzie są wasze dzieła?” Te słowa ostatnie, rzucone kiedyś przez Mochnackiego w odpowiedzi na oszczerstwa referendarza Hubego, — p. Niemojewskiego dziś dotyczyć nie mogą. A gdyby chciał posiąść prawo do stawiania takich pytań na podstawie dzieła „Boga Jezusa”—musiałby jednocześnie wziąć na siebie również rolę referendarza, odsądzającego od czci swoich najbliższych przeciwników.

Nieuznawanie wszelkiej krytyki rzeczowej z tej jedynie racji, że młodzi publicyści innego obozu w sferze zagadnień społeczno-ekonomicznych nie mogą przytoczyć na swoje poparcie błyszczących tytułów własnych dzieł, w dodatku traktujących o religji, stanowi błąd podstawowy w rozumowaniu logicznem. Równie słusznie można powiedzieć, że prawo do nauczania analfabetów przysługuje jedynie ludziom, nie umiejącym czytać, lub że do nakładania obłąkańcowi koszuli bezpieczeństwa można używać tylko notorycznych szaleńców.

Pytanie „gdzie są wasze dzieła” utraciło swoją moc druzgocącą jeszcze w wieku XVII, kiedy Spinoza uśmiechając się w duchu, wypowiedział historyczne w filozofji słowa, że „najgłupsi ludzie są najśmielsi i najbardziej skorzy do pisania książek“.—Z tego powiedzenia wynika, że wydrukowanie jakiegoś dzieła nie może jeszcze świadczyć o rozumie autora.

Jeżeli w piśmie zbiorowem, mającem odtwarzać życie społeczne i oświetlać jego wytwory najbardziej wartościowe, poświęcamy tyle miejsca Myśli niepodległej — to czynimy to z obowiązku przeciwdziałania malarji literackiej. Systemowi insynuacji p. Niemojewskiego przeciwstawimy metodę krytyki rzeczowej. Tą

---

[1]) № 25 Myśli Niepodległej, №№ Społeczeństwa 9, 11, 12, 13.
[2]) „Społeczeństwo” №№ 20, 21.

drogą może wyjaśnimy niewiadomo przez kogo stworzone tabu niepodległe. Dziś otacza się ono glorją męczeństwa i wykuwa dla siebie dogmat nietykalności. Jedynie żywi ludzie zdołają może zedrzeć tajemniczą zasłonę, przykrywającą to sfinksowe tabu i pokazać światu umysłowemu jego właściwe oblicze — grube, nieociosane i więcej niż pospolite.

Henryk Lukrec

---

# Paradoksy.

Ponieważ człowiek posiada swój cel: rozwój najwyższy zawartych w nim możliwości — rozwój ten nie wiem czy jest sam sobie celem, czy służy jako preludjum do wyższej harmonji—więc to dzieło będzie dlań piękne, które obudzi wyższe zaciekawienie, poruszy stygnącą powierzchnię ducha i zapłodni. Piękno dzieła jest pochodnią, wnoszoną do ciemności, przy której świetle człowiek spostrzega część swojej drogi. Dzieło, które nie otwiera żadnych drzwi, może mieć jednak znaczenie zbawczego elektryzowania — śmiechem naprzykład, po którym istota ludzka czuje się zdrowszą. Śmiech niewątpliwie karmi się smutkiem. Dusza, którą nawiedziła burza śmiechu,– czuje wyzwolenie od wielu smętności, przez śmiech pożartych. Są dusze tak ceniące swe bole, że nie śmieją się nigdy, nie chcąc zakłócać chroniczności swego stanu posiadania cierpienia.

Może się zdarzyć, że dzieło podziwiane przez wielu, którym ono daje radość i podniosły pożytek, odepchnięte będzie z niechęcią przez jednego i sprowadzi nań mękę—rodzaj głuchych tortur. Jego wysiłek, by doznać rozkoszy brania, przyczem wszystkie zmysły stoją gotowe, doznaje zawodu. W nim powstaje głucha obawa, czy czasem część jego ducha, pewna dziedzina nie jest martwą. Tu się dochodzi do poczucia swej odrębności, swej jednorazowości, swej drogi. Budzi się antagonizm między światem—zbiorową jednostką, uznającą pewien czyn artystyczny a jednostką indywidualną. Człowiek staje wobec mnogości i zadaje sobie pytanie: ja czy oni? Kto odpowiada *oni*—umiera błogosławioną śmiercią ubogich duchem.

To właśnie jest niedobre, że zbyt wielu pisarzy zbyt wiele widzi naokoło siebie martwej natury, że martwa natura rozpełza się wszędzie, że nią staje się ulica, światło, deszcz, ściana i człowiek. Człowiek staje się martwą naturą, rodzajem pręta, na którym można zawiesić drżące dzwoneczki powojów słownych, który można otulić w prześcieradło, napojone wszechuzdrawiającym balsamem tej lub owej filozofji stosowanej. Sięgającem głęboko przekonaniem każdego artysty powinno być, że jest ona urojeniem dyletantów, zajmujących się malarstwem.

Odziedziczone przyzwyczajenia trwają długo, głuchną, lecz żyją. Może być tak, że człowiek, który pół życia walczył o rzetelną ideę, nagle w chwili wyjątkowej, krytycznej, wysadziwszy bryły oczu na wierzch wali się w piersi i krzyczy: „Jam jest szlachcic polski”! Jest on w błędzie sądząc, że tego rodzaju manewr jest dobrem posunięciem. Przeciwnie, stwierdza się w ten sposób popłoch wewnętrzny, ucieczkę przed samym sobą i ukazanie się powtórne już nie jako ja, lecz jeden z wielu—członek rodu.

Dawnym zwyczajem było pytać: kto go rodzi? Ten zwyczaj przetworzył się u nas w manierę pytania człowieka, który zaczął z nami polemikę, kto jest ów pan? Co napisał. I tak dalej.

Gdybyśmy chcieli stawać do polemiki tylko z temi, którzy napisali dziesięć tomów, to w ten sposób uświęcalibyśmy przesąd, iż człowiek, który napisał to lub owo już przezto stanął wobec nas na uprzywilejowanem stanowisku. Przeciwnie ogromna większość autorów dlatego właśnie, że napisała dziesięć tomów—skompromitowała się szpetnie i nie może być wielce brana w rachubę. Każda książka jest niebezpieczeństwem dla autora. Ileż wirów i raf podwodnych grozi autorom gatatliwym i płodnym. Nie mówiąc już o powtarzaniu się i zaniedbaniu artystycznem, niemal nieuniknionem przy pośpiechu i chroniczności dzieł, ileż zadowolenia może sprawić przeciwnikowi konstantowanie kostnienia giętkości myślowej autora, manierowanie się choćby dzielnego stylu i jasno zarysowana niemożliwość wybrnięcia z pewnego zakresu. Gadatliwość wykazała już słabe strony autora, gdy tymczasem Milczenie może ukrywać wyroki całkiem niespodziewane. Choć doświadczenie temu często przeczy, upatrując w każdym Milczącym głupca — natrafić można na zdobywcę, który jednem kopnięciem obali autora i jego dziesięć tomów.

Leon Choromański.

---

# Agonja Związku.

W dobie żywego zainteresowania sprawą „wstępowania“ czy nie wstępowania żywiołów uświadomionych do nazywających się „polskiemi“ związków zawodowych, w chwili żywej wymiany na łamach prasy i w ustnej dyskusji poglądów i zapatrywań w tej materji, z głową napełnioną argumentami pro i contra wchodziłem na zebranie ogólne „polskiego“ związku zawodowego robotników przemysłu żelaznego, jakie się odbyło w ubiegłą niedzielę na Dynasach, w Sali Towarzystwa Cyklistów, by dać z niego czytelnikom „Społeczeństwa“ objektywne, bezstronne sprawozdanie. Zainteresowanie moje było tem zrozumialsze, że miał to być przegląd rocznej działalności Związku przemysłu żelaznego, zatrudniającego po przemyśle włóknistym największą liczbę pracowników w kraju naszym. Otóż, opierając się na danych przedstawionych zebraniu ogólnemu przez zarząd, stwierdzić wypada dalszy upadek Związku, upadek postępujący w nader szybkiem tempie. Ruch członków Związku nieubłaganie jest tego dowodem. Sprawozdanie Związku obejmuje okres czasu od dnia 1-go lipca 1909 r. do dnia 30 czerwca 1910 r., i w ciągu tym wstąpiło do Związku 108 członków, natomiast wystąpiło zeń 871 członków, z czego wykreślono za niepłacenie składek 474, opuściło Związek z „*różnych powodów*” 390, zmarło 7. Liczby te stosują się do Warszawy, która w d. 1 lipca r. b. liczyła 923 członków; oddziałów Związek ma 11, mianowicie: w Sosnowcu [illegible]89 członków, w Żyrardowie 43, w Ostrowcu 159, w Lublinie 63, w Dąbrowie 111, w Mińsku Mazowieckim 30, w Łodzi 113, w Zawierciu 202, we Włocławku 147 i w Kutnie 51. Ogółem przeto do Związku „polskiego“ należy 2372 robotników, a to stanowi zaledwie 3% ogółu robotników przemysłu metalowego w Królestwie; jak wiadomo, bezpartyjny Związek metalowców, zamknięty w 1908 r. już po roku istnienia liczył około 20-stu tysięcy członków—w zestawieniu dopiero z tą liczbą uwydatnia się należycie „znaczenie“ i popularność Związku, witanego przy swych narodzinach przez organy endeckie z wielką emfazą. Czy i w jakim stopniu liczba członków w oddziałach prowincjonalnych równie maleje jak w Warszawie, tego z krótciutkich, pobieżnych „sprawozdań“ delegatów dowiedzieć się nie mogłem, i dla tego opieram się wyłącznie na sprawozdaniu Warszawy.

W ciągu roku sprawozdawczego Związek obejmował 28 kół fabrycznych, które urządziły 32 zebrań, pomoc prawną otrzymało 49 członków, lekarską 12

członków, z 16 „zatargów“ między robotnikami, a fabrykantami „pomyślnie“ załatwiono 11, na czem polegały te „zatargi“, jaka ich była natura i w jaki sposób je załatwiono, o tem sprawozdanie milczy, a z zebranych nikt o to nie pytał. Ze 162 zgłoszeń pozostających bez pracy, biuro pośrednictwa pracy umieściło 101 członków, przyczem zapotrzebowanie ze strony przemysłowców na niektóre rodzaje pracy, jak np. na ślusarzów i modelarzy przewyższało siły rozporządzalne Związku, który kandydatów dopiero wyszukiwał i pod warunkiem zapisania się do Związku dostarczał im pracę.

Główną pozycją dochodową Związku są oczywiście składki członków, których w roku sprawozdawczym wpłynęło rb. 3033,50, wpisowe dało rb. 97,50, od prenumeratorów „Życia Robotniczego“ rb. 94,45, z zabaw i ofiar rb. 14,14, z wycieczki do Częstochowy rb. 43,83, od oddziałów rb. 36,11, razem przychód stanowił rb. 3319,53. Z sumy tej wydatkowano na lokal rb. 554, na zapomogi bezrobotnym rb. 628,30, chorym rb. 758,65, pośmiertne rb. 126.00, na prenumeratę „Życia Robotniczego“ rb. 156.00, na wynagrodzenie urzędnika rb. 720 (charakterystyczne, że prasa która zbyła sprawozdanie Związku na ogół kilku wierszami, nie omieszkała jednak demagogicznie podkreślić rzekomo wysokiej pensji *jedynego* funkcjonarjusza — ciekawe, coby powiedział ów sprawozdawca, gdyby mu obcięto wierszowe na tej zasadzie, że w danem piśmie prenumerata maleje!).

W wydatkach Związku na szczególną uwagę zasługuje pozycja biblioteki. Zasługuje z tego zwłaszcza względu, że wypędzając ze Związków zawodowych, jak zarazę treść, istotę i ducha ruchu zawodowego, macherzy i menerzy endeccy wyznaczają mu rolę oświatowo-kulturalną. Otóż w roku ubiegłym nasz Związek, największy ze Związków polskich, na kupno i oprawę książek wydał aż rubli 9, wyraźnie dziewięć, a w ciągu czteroletniego swego istnienia wydał na bibliotekę mniej niż 50 rubli!!! Za to na „mszę św.“ (coprawda łącznie z kolendą stróża i listonosza) w r. z. wydał rb. 59 kop. 58, a gdy z biernej zahukanej masy, z wyrazem na tępych twarzach ogłupienia lub upodlenia, podniósł się lękliwy głos, czyby nie można książek zmieniać w niedzielę, z pogardliwą wyniosłością odparto, że to dzień nabożeństwa i kościoła! a trzeba było widzieć, jak te bezmyślne głowy zebranych potakująco trzęsły się z baranią uciechą, z ukontentowaniem mikrocefalów! Żadnej też dyskusji nad sprawozdaniem ani nad „działalnością“ Związku nie przeprowadzono, dyskusji we właściwem słowa tego znaczeniu, od czasu do czasu słyszeć dawał się jeno żal i jęk nad „upadkiem ducha“ Związku, nad brakiem zainteresowania jego losem, nad jego upadkiem stopniowym. Na zebranie nawet zjawiła się nieliczna garstka, byli nieobecni piastujący urzędy w Związku, płatnicy i gospodarze. Przewodniczył dobry numer— co się zowie, niejaki p. Sawicki, zawczasu ad hoc przygotowany. Pan ten, siwizną przyprószony, z całą przewrotnością okłamywał zebranych, wskazując im dwie drogi, które Związek zbawią, jedna—to zjednywanie członków do kasy pogrzebowej, którą nazwał— cytuję dosłownie—„główną ostoją Związku“, a która po wypłaceniu na pogrzeby 5-ciu członków, 3-ch żon i 56-ciu dzieci rb. 625, pozostała bez grosza. Drugiem zbawieniem ma być założenie kasy pożyczkowo-oszczędnościowej, któraby już rubla jednego przyjmowała, chroniła robotnika od lichwy — (naturalnie żydowskiej bo innej wszak niema),—była „fundamentem Związku“, dzięki kasie Związek stanie się „instytucją kapitalistyczną“ dzięki czemu nabędą fabryki, jak w Liverpoolu, gdzie robotnicy posiadają własne warsztaty, w których po 12 tysięcy ludzi pracuje. Ten szczwany żółty lis karmił myśl i wyobraźnię współzwiązkowców, a nie znalazł się wśród nich ani jeden, któryby te androny ukrócił i zdemaskował. Czem on lepszy od ks. Godlewskiego, rzucającego się na dzieciaka i wyrywającego mu z ust karmelek — w celu „budowania przyszłości lepszej“?! Oburzeniu jednak które wzbierało w piersiach, przyszła na pomoc rada Zaratustry, miarkująca i łagodząca gniew; „wróg“ powinniście mówić, a nie „złoczyńca“; „chory“ powinniście mówić, a nie „łotr“; „głupiec“ powinniście mówić, a nie „grzesznik“ (o bladym zbrodniarzu).

Czy przeto—wirowały refleksje—niedobrze, nie trzebaby „wstępować“ dla walki z wrogiem, dla uświadomienia głupca, dla leczenia chorego? Oko moje skrzyżowało się ze spojrzeniem pana w lśniącym nowym mundurze, spojrzeniem na pół ironicznem, na pół wzgardliwem, którem obrzucał zebranie. „Spróbójcie“ zdawało się ono mówić, przy pierwszej próbie galwanizowania, przy najlżejszej chęci ujawnionej w tym kierunku, przy najniewinniejszym kroku na tej drodze—dzieło w szlapie! Spojrzałem po zgromadzeniu—żaden „instynkt klasowy“ nie ostrzegał ich przed bredniami siwizną przyprószonego jegomościa... „beznadziejni“ myślałem, wątpliwe, czy najwięcej ożywcze fale, przesycone zdrowiem i tężyzną, zdolne byłyby wskrzesić te obumierające i zdeprawowane „polskie“ związki, czy przebywanie w ich morgowej atmosferze nie oddziałałoby zgubnie na żywioły mające ją oczyścić i uzdrowić? Mnie się wydaje, że niewątpliwie to by się stało ze szkodą naszego rozwoju, naszej przyszłości.

## KRONIKA.

— Sprawy prasowe: Wileński sąd okręgowy bez udziału sędziów przysięgłych rozstrzygnąć miał w dn. 6 b. m. sprawę redaktora tygodnika „Wiedza“, p. Dominika Rymkiewicza. Powodem do wytoczenia sprawy posłużył artykuł „O sprawach finlandzkich“; informujący między innemi i o ruchach wojsk.

Obrońca zwrócił się do sądu z prośbą o dołączenie do sprawy 3 numerów gazety „Ruskija Wiedomosti“, z których zaczerpnięte zostały owe informacje. Sąd prośbę tę uwzględnił; po krótkiej naradzie postanowił sprawę odłożyć i zasięgnąć wiadomości, kiedy redaktorowi Rymkiewiczowi doręczono okólnik ministerjum spraw wewnętrznych, wzbraniający informowania czytelników o ruchach wojsk, przed, czy też po zamieszczeniu artykułu, będącego powodem sprawy.

Redaktor pisma „Wiadomości Codzienne, p. Leon Rostkowski, został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej. Do czasu rozstrzygnięcia sprawy pozbawiony został prawa podpisywania pisma.

— Konfiskata. N 206 Kurjeta Łódzkiego na mocy rozporządzenia inspektora do spraw prasowych został skonfiskowany.

— Czas trwania ochrony wzmocnionej przedłużony został do dn. 17 września 1911 r., lub też do dnia ogłoszenia nowego prawa o stanach wyjątkowych.

— Według obliczeń specjalnej kancelarji kredytowej długi państwa rosyjskiego w dn. 14 stycznia 1911 r. wynosić będą 9,038,000,000 rubli, t. zn. o 23,000,000 rb. mniej, niż wynosiły w dn. 14 stycznia 1910 r. Na zapłacenie procentów od pożyczek państwowych minister skarbu zamierza wyjednać 407,265,000 rb.

— Na posiedzeniu warszawskiej komisji gubernjalnej do spraw towarzystw i związków rozważano sprawę T-wa opieki nad zabytkami przeszłości. Komisja po rozejrzeniu się w wyjaśnieniach pisemnych zarządu, oraz po wysłuchaniu opinji przedstawiciela T-wa, nie znalazła żadnych powodów prawnych do zawieszenia czynności T-wa, jak tego domagały się władze administracyjne na tej rzekomo zasadzie, że T-stwo zbiera ofiary w sposób nieprzewidziany przez ustawę.

Na tem posiedzeniu postanowiono sprawę Tow. bibljotek parafjalnych skierować do senatu; sprawę zawieszenia działalności V oddziału T-wa kultury polskiej odłożono do najbliższego posiedzenia.

Zalegalizowano następnie nowe stowarzyszenia i związki: żydowskie T-stwo dobroczynności „Linos Hacedek" w Warszawie; Zw. rodu szlacheckiego Zaleskich; żydowskie T-stwo pomocy dla sierot i ich rodzin; T-stwo opieki nad niezamożnemi uczenicami VII klasowej szkoły p. Sierpińskiej; żyd. T-stwo wspierania dziewcząt wstępujących po raz pierwszy w związki małżeńskie; kółko przyjaciół młodzieży przy szkole Rychłowskiego i II żyd. T-stwo opieki nad sierotami i biednemi dziećmi.

Odmówiono legalizacji T-stwu pomocy lokajów chrześcijan, Zw. rodu szlacheckiego rodziny Czarnowskich herbu „Grabie" w Płońsku: II T-stwu myśliwstwa, którego zarząd miał się znajdować w Warszawie.

Wreszcie pozostawiono bez rozważenia ustawę T-stwa statystyczno-ekonomicznego, a legalizację T-stwa opieki nad niezamożnemi uczniami szkoły Rontalera odroczono.

— Ministerjum oświaty rozesłało okólnik do kuratorów okręgów naukowych z poleceniem, by radom pedagogicznym wszystkich szkół średnich przyznane zostało prawo wydalenia i nieprzyjmowania z powrotem tych uczniów, którzy byli aresztowani lub podlegali rewizji. Prawo wydalenia może być stosowane nawet wówczas, jeśli wydaleni uczniowie powoływać się będą na posiadane świadectwo prawomyślności politycznej.

— Zmarł w Warszawie Mieczysław Srokowski, autor „Epigonów", „Kultu ciała" i drukującej się obecnie powieści w tygodniku „Świat" p. n. „Anachroniści". Zakończył życie, jak przystało na literata polskiego, na gruźlicę w szpitalu.



Redaktor i wydawca **Dr. J. M. Muszkowski.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowski i S-ka Nowy-Świat 47.